

KAZIMIERZ KALINOWSKI.

# Z oparów krwi

Powieść dyktowana przez autora w transie.

(Prawa przedruku, przekładu i przeróbki zastrzeżone).

18)

Tu nie tylko żywiołowy nieurodzaj zawinił, ale tu przeważnie leżała rola ugiorem, bo jej nikt nie orał, nikt siał nie chciał.

— Po co? czy na to miałbym pracować w pocie czoła, by przyszedł mi zabrać czerwone czarty wszystko do ostatniego ziarna.

Włec nie miało się co rodzić... A w następstwie rozboju i rabunku czerwonych rekwizytorów — nastał głód.

— Takiego głodu się lat nie było — mówił im jakiś starzec, przymierający na drodze, gdy się wśród puski zatrzymali o świcie.

I oto teraz jechali przez kraj, z którego cały lud wyszedł na poszukiwanie chleba w dalszych okolicach, a w chatach pozostało jeno kilkoro chorych, wiekowych, co się ze swych barłogów ruszyć już nie mogli.

Automobil na swej drodze spotykał takie wędrowniki... Szły całe wsie... wlokły się jak cienie...

Szły szukać jedzenia, bo w swoich stronach zjedzono już wszystką trawę... i na chleb wypieczono wszystek mech z makuchami...

Czasem w lesie natrafiali na gromadkę konających z głodu. Ci już nawet kory z drzewa jeść nie mogli... Mogli tylko umierać w mękach głodowych.

Potem z kolei wypadło im mijać okolice, w których wyjątkowo było do niedawna co jeść, a które wyglądały jakby przez tę ziemię przeszła szarańcza i wyżarła wszystko, zostawiając popioły.

— Byli tu... byli... Zdaleka przyszli, bo u siebie nic nie mieli... Przyszli, zjedli... i poszli — opowiadała im samotna starucha, na zgłiszczach chaty siedząc w opustoszałej osadzie ludzkiej. I przejechali znów w biały dzień przez miasto wymarłe.

Na placach, w rynsztokach ulic, leżały trupy niepogrzebane.

Gdzieś tam snuły się między nimi psy jak szkielety...

Gdzieś tam zrywało się od biesiady przy trupach stado ptactwa, automobilem spłoszone...

A wreszcie natrafili na garść ludzi żywych. Leżeli na jakimś dziedzińcu, nie wiele różniąc się od trupów. Ale na turkot maszyny podnieśli głowy, na łokcia h się z trudem dźwignęli.

Podeszła ku nim Iza, pytać o to miasto wymarłe.

Odpowiedzieć im było ciężko, trudno... W nikim już sił nie było, by mówić coś więcej...

Ale i z tych strzępów słów dało się stworzyć całe dzieje tego tragicznego miasta, które w partyzanckiej wojnie, domowej raz z razem zmieniało gospodarzy przez szereg miesięcy — aż wreszcie na stałe zapanowali w niem znowu czerwoni.

Odtąd srożył się głód i mór. Ludność ginęła od cholery, tyfusu i szkorbutu.

Aż wreszcie ludziom sił brakło, by móc grzebać ciała sąsiadów.

— I ot... cisza nastaje po długiej wojnie — ledwie dosłyszalnie szeptał jakiś człowiek, widocznie ineligent. — Teraz już pokój nastanie.

— Pokój — powtórzyła Iza jak echo.

A w tem jakaś kobieta, wijąc się w bólach, podpełzła do niej, za futro się jej chwyciła i oczy podniosła w górę na jej twarz bladą.

— Powiedz ty mnie... czy to jest już koniec świata?

Głowa Izy opadła na piersi i trzęsła się przez chwilę w milczeniu, poczem na jej usta wybiegł szep cichy:

— O, tak... tego świata już koniec...

— A widzicie — jęknęła kobieta, zwracając się do leżących przy niej mężczyzn.

Wyciągnęła się... zadrżała na całym ciecie... i wyzionawszy ducha, zastygła u stóp Izy.

## XVI.

Noc bezgwiezdna, otchłannie ciemna. Przepasny las dyszy z cicha.

— Jak tu strasznie... jak strasznie — szepcze Marya, zasypiając w głębi samochodu, przy którym Janek moził się nad jakąś naprawką.

Iza już śpi. Piotr także, pokręciwszy się w pobliżu, wrócił na swoje siedzenie i zaczyna drze-

mać. Tylko Julian drecze tam i z powrotem prawie w miejscu.

— Pyszna konstrukcja — mruknął znowu młody mechanik.

— O, tak — odpowiada Julian — niezawodna.

— Z takim silnikiem mieć do czynienia, to satysfakcja — mruczy Janek.

— Jak nas złapia — odzywa się po chwili Alferow, przystając — maszyna przepadła...

Stał kilka minut w miejscu, kiwał głową, a kiedy młodzień skończył swoją robotę, przynaglił go, by przysiadł i spał. A potem odszedł od auta i zaczął przechadzać się miarowo wzdłuż drogi na przestrzeni kilkunastu kroków, mając tuż przy sobie śpiących w samochodzie.

Na niego wypadła kolej czuwania. A czuwał dziś chętnie. Mie mógłby spać. Myśli opadały go coraz inne i nie dawały spokoju.

— Tak... tak... co będzie, jeśli złapia... Bo to nic, że nam auto wezmą... byle zostawili życie!

...Auto moje przedstawia dziś wartość ogromnego majątku... To moja ostatnia własność... już mi nic nie zostało.

...A jakie to zadowolenie uczuwa się na myśl, że się już nie jest z niczym związanym... Jak mi dziwnie lekko, kiedy już nie mam nic... Zabrali wszystko... inne przedtem rozdarowałem...

...Ale coż z tego! jakież pożytek to przyniosło?

...Tak się zrazu cieszyłem, że zdażyłem majątki ziemskie porozdawać na cele społeczne wcześniej, nim się zaczął terror czerwonych wraz z rekwizycją, konfiskatą i całym stekiem edyktów rabunkowych.

...Tu dom dla sierót, tam dla starców... ówdzie przytułisko ślepych... A każde na wsi... ma się na miejscu czem żywić, z czego utrzymać... i trwać może wiecznie...

...Wszak na to swej łapy nie położy — myślałem i cieszyłem się, że to wszystko ocalało w taki sposób dla dobra publicznego.

...A tymczasem...

Serce kurczyło się w piersi Alferowa na myśl o tem, jak przeraźliwie zmarniały jego fundacje dobroczynne.

Mieli sposobność przejeżdżać automobilem przez dwa dawne majątki Alferowa. Nie mógł sobie tego odmówić, by do nich nie zajrzeć. Postanowił tak wszystkiemi pokierować, by się nie dać poznać, a jednak na moment zajrzeć tam bliżej.

Zrazu badał, czy się na kogo nie natkną niepożądanego, wreszcie zbliżyli się.

Wielki dwór niegdyś zamienił Alferow na zakład dla sierót. Dziewczęta, pozbawione rodziny, a w wieku dojrzewania, miały tu znaleźć ochronę przed wielkomięjskimi pułapkami zepsucia.

Uczono tu pracy i zaprawiano do uczciwego życia. Po kilku latach dziewczyna miała stać wychodzić do służby z odpowiednią kwalifikacją.

Personal wychowawczy i nauczycielek dobrany był starannie i mógł budzić zaufanie.

Ileż pożytku mógł stać przynosić społeczeństwu taki zakład, oparty przez fundatora na pewnych i silnych podstawach materialnych.

— Jak tam dziś wygląda? co się tu zmieniło — pytał się w myślach Julian, gdy automobil zatrzymał się przed gankiem.

Postanowili odbyć przegląd krótki, błyskawiczny, a mogli liczyć na to, że z wyglądu ich figur i maszyny będą brani za dygnitarzy uprawnionych do takich rewizji.

Ale nikt się nimi bliżej nie zainteresował. Wszyscy bowiem byli pijani.

Trafili na jakąś zabawę.

— A co to za święto u was dzisiaj? — zagadnął Janek jakiegoś staruszka u wnijsia.

— Święto? — ruszył ramionami zapytany — jakie tam święto! Tu przez cały rok nikt nie obchodzi święta... A takie święto... to jest codzień jak tydzień długi.

Przyjrzawszy się z progu wyuzdanym tłumom, cofnęli się.

Alferow przypominał sobie zaufaną gospodynię tego zakładu, osobę o wyższych kwalifikacjach pedagogicznych, której powierzył pieczę nad swoją fundacją. Jej się nie bał, przed nią jedną mógł zdradzić swoje incognito; niechże nam ona powie, co się tu dziś dzieje naprawdę.

Zwrócił się więc do owego staruszka, o nią teraz pytając.

Stary wyszedł z nimi na dziedziniec, poprowadził ich między zabudowania gospodarskie i w jakieś lice okienko zapukał. Tam miała mieszkać ta, o którą pytano... Z kierowniczką

instytucji społecznej strącona na posadę przy-musową — pomywaczki.

Wyszła przywołana i zlekła się ich widoku. Lecz Alferow, śpiesznie uprowadziwszy ją na bok, uspokoił wyznaniem prawdy.

Wszyscy wrócili do samochodu, Julian tylko stał długo i długo rozmawiał z ową starszą kobietą sam na sam na uboczu.

Dowiedział się wszystkiego... Usłyszał aż za wiele. A wracał do swego pojazdu, mając w uszach tylko jedno; to mu dźwięczało, hu-czało, jakby jakiś dzwon pogrzebowy, powia-rzając w nieskończoność charakterystykę, podaną przez jego dawną przełożoną:

— Dom publiczny! gorzej niż dom publiczny! Z tem odjechali, by o kilka mil dalej zajrzeć do drugiego domu, w którym Julian umieścił w czasie wojny stu starców bezdomnych.

Jak oni tam mieli żyć, świadczyło najlepiej powiedzenie kilku pierwszych pensjonarzy tego domu, że napewno przez całe życie wielu z nich nie miało takich wygod i takiego jedzenia, jak tu na starość.

Istotnie, wszystkiego mieli tu w bród.

— Wszak dla takiego starca zdzielniałego to znaczy najwięcej: móc jeść, kiedy zechce i na co ma ochotę — powtarzał Alferow kierownikowi zakładu.

Domyślał się, że kiedy w kraju wszędzie panuje gospodarka rabunkowa, musiano i tam maczać ręce po łokcie i okradać starców. Ale nie przeczuwał, by miał zastać taką ruinę swoich dobrych chęci i takie cmentarzysko smętne, na którym pogrzebano tyle szlachetnych porywów jego serca.

Najlepiej mu powiedziały o tem, jakie życie mieli pensjonarze tego domu, dwa trupy wisielców. Zastał je w jadalni, w ogromnym niegdyś salonie o wysokich oknach, w niszach.

O, nigdy Julian nie zapomni tego widoku. Ta wielka sala jadalna, która miała słodzić resztę dni dziesiątkom starców bezdomnych, wiała dziś puszką, cuchnącą śmiercią.

A nad nią jak żalobne chorągwie powiewały te dwa sztywne, do szkieletów podobne, ciała.

Obaj staruszkowie powiesili się na cknach z rozpacz, nie mogąc już walczyć z głodem.

I teraz więc noc otchłannie ciemną w pośrodku mrocznych lasów przed oczyma Alferowa jawią się ci wisielcy-samobójcy, jako wymowna ilustracja, do czego doprowadziła gospodarka czerwonych rozbójników w jego niegdyś kwitnących majątkach... A w uszach jeszcze mu świszczą słowa z ochrony dziewcząt, pełnej wrzawy pi-jackiej, wśród rozpasanych orgii:

— Dom publiczny! gorzej niż dom publiczny! Żal serdeczny cegarna Juliana.

Tak wszystko na marnie!

A gdyby nie to, jakże byłoby mi lekko pomyśleć, że nie mam nic swojego, rozdarowałem wszystko... a z reszty, co miałem, ograbili mnie zbójcy po drodze...

I mogę iść z kijem pielgrzymim w ręce... hen przed siebie... coraz dalej, coraz wyżej... w słońce Prawdy... kiedy powionie biały sztandar Dobra.

A tymczasem tu wiecznie z krwi oparów wstaje widmo i płaczem okrutnym zawodzi... a wokoło rozlega się przeraźliwym echem śmiech szatański.

Chwilami przystawał Alferow wśród ciszy i nadsluchiwał. Ale puszcza wokoło dyszała jednako grzecznie.

I znowu przechadzał się, stukając się z własnymi myślami.

Takim nędzarzem, jak ja w tej chwili z wielkiego magnata — jest i moja ojczyzna... Nic już nie ma... Ograbiono ją z wszystkiego...

A takim nędzarzom, którzy już nic własnego nie mają na ziemi, bywa zazwyczaj łatwiej o zbawienie duszy, aniżeli bogaczom.

— Boże... Boże... — powtarzał raz za razem Alferow wśród ciemnicy. — Czy to możliwe?... Wszak gdybyś zechciał, Panie, przebaczyłbyś jej winy... i duszę jej zbawił... Boże! wejrzyj na moją nieszczęsną ojczyznę...

Stał tak Alferow przez długą chwilę wpałrzony w wielką ciemność nocy... Gdy naraz doznał wrażenia, że nieopodal coś się w puszczy zaśmiało głosem szatańskim. Zadrżał na całym ciecie. Głos się powtórzył. Chichot — czy wycie...

I przypominały mu się słowa Maryi przed zaśnięciem:

— Jak tu dziś straszno...

(Ciąg dalszy nastąpi).